

12. DRZEWA

Siedzę przy otwartym oknie, jest ciepło, lekki powiew łaskocze mi skórę twarzy. Siedzę w wysokim, dzieciennym foteliku, którego poręcze obejmują mnie pod pachami, wspieram się plecami na oparciu, głowę mam przechyloną w tył i oddycham. Wdycham w płuca jesienne powietrze, pełne zapachu przejrzalnych liści, dymu ogrodowych ognisk, fetoru rozrzuconego na pobliskich polach obornika; zapachów starzejącego się roku. Przede mną, w najbliższym sąsiedztwie koszarowca, rozciąga się pusty dziedziniec z masztem flagi pośrodku i wielkim narzutowym głazem z marmurową tablicą, na której widnieje wyryta ozdobnie inskrypcja. Nie wiem, o czym głosi. Nigdy jej nie przeczytałem, a i pytać nie przyszło mi do głowy. Wielki kamień nie jest tutejszy, leży tu od niedawna, pamiętam, jak go przywieziono, jak kamieniarz najpierw brał wymiary, a po kilku tygodniach przykręcał do niego wyszlifowany do połysku marmur z napisem. Wokół głazu przywiedle, pamiętające ostatnią uroczystość wieńce, mały bukiet goździków tkwi zatknięty za narożnik marmurowej tablicy, przed nią ciemna, mosiężna misa wygaszonego znicza. Flaga na maszcie zwisa, lekko kołysząc się w delikatnym podmuchu wiatru.

Dziedziniec zamyka kamienny mur, wysoki na jakieś trzy metry, z potrójną linią drutu kolczastego na zwieńczeniu. Mur miejscami uzupełniają wstawki z cegły, byle jak obrzucone piaszczystej barwy tynkiem, byle tylko zachować w miarę jednorodną barwę ogrodzenia. Tynk gdzieś odpadł, wyłażą spod niego ceglaste łaty. Za murem rozciąga się park. Wysokie drzewa o rozłożystych koronach ograniczają perspektywę do tego miejsca, nie pozwalają wzrokowi na myskowanie po dalszej okolicy. Patrząc na ich równe, kuliste zwieńczenia, mienia się w słońcu różnobarwnie, kolorami odchodzącego lata: czerwienią, żółto-zielonymi łatami, jasnym złotem, brązem. Ta radosna paleta, tak nastrojowo sprzeczna z wyczuwalnym już smutkiem gaśnięcia przyrody,

niezmiennie cieszy oczy każdego, kto ma możliwość wpatrzeć się w nią bez pośpiechu, bez stresu, w zwolnionym rytmie, przynależnym jesieni. Tak jak ja teraz. Siedzę sobie i patrzę, jest cicho, ćwierkają wróble, ale bez zbytniego zapału, bez wrzasków towarzyszących ciągłym bójkom tych podwórkowych chuliganów. Im też się nie chce – jesienne słońce rozleniwia. Przedemną tłoczą się drzewa, wielobarwne korony wyglądają jak czubki głów ścieśnionego za płotem tłumu wielkoludów; tylko te pierwsze, najbliższe ogrodzenia, wyglądają jak prawdziwe drzewa. Ciemne, brunatne pnie pną się im w górę, ku koronom, potem rozwidlają w konary, ich kontury rozmywają się wśród gęstych jeszcze liści.

Lubię ten park, lubię te drzewa. Czasem do nich chodzę. Nie sam, rzecz jasna, wozi mnie Karola, gdy trafia się jednocześnie wolny od zajęć czas i ładna pogoda. Tak jak dziś. Właściwie to na nią czekam, ten spacer obiecała mi rano, gdy bezchmurne niebo zapowiedziało piękny dzień wstającym zza wschodniego dachu słońcem. Teraz jestem wolny, wykręcony na wirówce, wyedukowany historycznie i światopoglądowo; mogę czekać, aż Karola zakończy swoje obowiązki wobec innych i przyjdzie do mnie, by mnie zabrać do parku.

Poza mną nie ma na sali nikogo. Moi towarzysze – najbliższy łóżkowy sąsiad Staś i dwaj nasi współpacze z drugiego końca sali – jeszcze z zajęć nie wrócili, mnie się udało, technik od wirówki gdzieś się spieszył, skrócił mi więc torturę, przywiózł tutaj i spełniając prośbę posadził w foteliku. Mogę, czekając, kontemplować w ciszy i samotności smutniejące piękno wczesnej jesieni za oknem.

Ta niespodziewana, chwilowa samotność jest mi na rękę. Nie jestem zbyt towarzyski, chociaż pewnie w oczach kolegów sprawiam inne wrażenie. Wymuszone przez okoliczności, częste uczucie opuszczenia, które mi stale towarzyszyło we wcześniejszym okresie życia, tak w naszym domu na wsi, jak i w bidulu, nie sprawiało mi przykrości, lubiłem je nawet, lubiłem te chwile, gdy mogłem pusty świat wokół siebie zaludniać marzeniami. Siedzę także teraz,

kontempluję i zaludniam. Czym zaludniam? Niczym, tak tylko sobie gadam. Bez sensu. Taka cisza i samotność, oprócz umożliwienia kontemplacji, potrafi wynudzić na śmierć, zwłaszcza gdy się człowiek podskórnie niecierpliwi czekaniem, udając przed sobą, że wcale nie, że mu z tym dobrze i że tak ma być, bo taki jest naturalny stan rzeczy.

Słyszę stuknięcie drzwi za sobą. To Karola, czuję to, choć jej za plecami nie widzę. Czekam na jej słowa, na decyzję, że już.

- Jak tam, Hansie? – słyszę. – Gotowy? Gorol mi powiedział, że już tu jesteś.

Kiwam głową.

- Jasne – mówię.

- Idziemy?

- Idziemy.

Podchodzi, podnosi mnie z fotelika, czyni to bez specjalnego wysiłku, mimo że nadzwyczajną lekkością się nie wyróżniam. Karola jest silna w rękach. Potem podsuwa nogą wózek i sadza mnie w nim.

- Trofiejny – mówi. – Halszka dać nie chciała, sposobem musiałam podiwanić.

Z podziwem kręcę głową. Karola zawsze osiąga to, co chce, z tym, że głównie w pracy. Jej życiowy spryt wyczerpuje się w zasadzie na tym. Prywatnie najczęściej bywa naiwna i ciapowata, co wielu wykorzystuje dosłownie i w przenośni. Ale wspominałem już o tym, tym razem chcę o czym innym.

Wyjeżdżamy na dziedziniec. Podwórze jest jedną wielką plamą słońca, prawie żadnych cieni, jedynie pod samym murem najbliższe drzewa przerzucają skrawki swoich na naszą stronę. Jedziemy w stronę bocznej furtki, skąd do parku jest najbliżej. Tu zatrzymujemy się, natychmiast otacza nas chłód starych winorośli, porastających sąsiadujące z bramką przęsła muru. Karola wyciąga z kieszeni fartucha pęk kluczy na wielkim kółku, chwilę przebiera wśród nich, a

potem przekręca w zamku ten właściwy. Zamek chrzęści nieoliwioną sprężyną, skrzypią zawiasy i już jesteśmy po drugiej stronie, gdzie cień jest wielki i bierze nas w wyłączne posiadanie.

Drzewa. Dookoła nas grube, chropowate pnie, gdzieniegdzie omszałe, z sękatymi stopami korzeni, ginącymi wśród stert opadłych liści. Drzewa szumią monotonnie, ten szum mnie zadziwia, bo przecież wiatr jest rachityczny i nieśmiały, przynajmniej poza granicami wyznaczonymi przez park. A szum w swej monotonii sprawia wrażenie potężnego jak huk wielkich, dalekich wentylatorów. Idziemy. Jestem właściwie sam, Karola pcha wózek milcząco, nie widzę jej, nie słyszę, poza szelestem kroków na liściach. Kroki szeleszczą, szeleszczą kółka wózka, w gałęziach pogwizduje jakiś ptak, drą się bez entuzjazmu wróble. Oprócz nas nikogo tu nie ma, to dobrze, spacer w pustym parku jest pozytywny podwójnie, obecność innych spacerowiczów ujmuje mu połowę uroku. Przystajemy pod grubym dębem o prostym, wysokim pniu. Karola przysiada na ławce.

- Odetchniemy tu, co, Hansie? – proponuje. – Skonana jestem dziś jak pies.

Zgadzam się, kiwam zgodnie głową. Co mi zależy, może być i tu. Karola siada, wyjmuje książkę.

- Przysuń mnie do drzewa – proszę. Spełnia moją prośbę od razu, przesuwa wózek tak, abym mógł dotknąć kory dłonią. Dotykam, czuję jej chropawość, ostrą szorstkość wąskich, podłużnych karbów, rysujących powierzchnię pnia pionowymi szczerbami, jak dawno zabliznionymi śladami pazurów. Odkruszam kawałek, pochylam głowę ku dłoni, wącham. Pachnie korkiem i pleśnią, ma też w sobie ciepłą, niezidentyfikowaną woń, którą przypisuję specyficznie drzewa – to jego indywidualny, unikalny zapach, jego wyjątkowa cecha gatunkowa, właściwa temu tu, jednemu egzemplarzowi.

Karola patrzy na mnie, odkłada książkę.

- Hansie... - mówi i słyszę pytanie w jej głosie. Jej dłoń powoli wędruje po moim brzuchu, sięga krocza. – Może...?

Waham się chwilę, dotyk jej ręki robi swoje, ma przekonujący argument w sobie.

- Nie, Karola – mówię wreszcie, a ciało w komplecie, wszystkimi istotnymi fragmentami protestuje przeciw nadciągającemu rozczarowaniu. – Daj spokój, chciałbym побыć tylko w tej ciszy. Przepraszam – dodaję na wszelki wypadek, gdyby zamiary miała głębsze niż tylko udzielenie mi litościwej pieśczoły.

Karola rozumie, cofa dłoń, bierze na powrót książkę.

- A – mówi jeszcze, jakby sobie o czymś przypomniała, i znów ją odkłada. Sięga do kieszeni fartucha, wyciąga lekko pogniecioną, złożoną na pół kartkę. – List mam do ciebie.

- List? – dziwię się. Nikt nigdy tu do mnie nie pisał. – Od kogo?

- To kartka zwykła właściwie, nie prawdziwy list, taki z poczty – mówi Karola i wkłada mi kartkę w dłoń. Zaraz potem orientuje się, że to bez sensu. – Poczytać ci? Albo potrzymać może?

- Przytrzymaj – decyduję. W końcu to list do mnie, chociaż jestem pewien, że go czytała. Otwarty przecież jest i nawet bez koperty. – Od kogo? – powtarzam pytanie.

- Sam zobacz – przytrzymuje papier za róg i pokazuje palcem na podpis. Patrę i od tego patrzenia robi mi się ciepło, a zaraz potem zimno. I znów ciepło. W podpisie stoi, jak byk: *Betinka*.

- Czytaj, czytaj, dopiero się zdziwisz – uśmiecha się konfidencjonalnie Karola, nawet nie próbuje taić, że wie, co tam jest powyżej tego wstrząsającego podpisu. Czytam więc.

Mój drogi Hansie! – widnieje na samej górze. Czytam dalej, a im dalej zagłębiam się między rzędkie krągłych liter, tym mocniej tańczą mi one przed oczyma i tym mniej rozumiem, co czytam. To są tylko słowa, mówię sobie, to są słowa, słowa można rzucać ot, tak sobie, bez większego znaczenia, głębszego celu, konsekwencji, a potem je unieważniać w dowolnym momencie, pod wpływem dowolnego kaprysu. Nie wierz słowom, Hansie, nie wierz słowom,

nie wierz im za bardzo, bo mogą zniknąć, rozplątać się w zdziwieniach i zmieszaniach, w krępujących próbach sprostowania ich źle zrozumianej wymowy. Nie wierz słowom, gdy oznaczają szczęście.

Nigdy nie odważę się powiedzieć Ci tego, więc piszę – znajduję między nimi. Rozumiem to, dokładnie to rozumiem. Nigdy nie odważyłbym się powiedzieć jej tego. To prawda. Temu mogę uwierzyć. Może więc i innym, tym przełamującym lęk mówienia faktem swego zaistnienia na papierze? *Boję się tego, boję się, co dalej, boję się i chcę.* Jak to możliwe? Jak to mogło się zdarzyć czemuś takiemu jak ja? Kolejna gorąca fala oblewa mi szyję za kołnierzem. Palce mi drżą. Czuję szczypanie pod powiekami.

- Nie płacz, Hansie, cieszyć się trzeba, nie płakać – Karola wyciera mi oczy chustką.

- Jak to... - chcę zapytać, jak to jest możliwe, ale głos więźnie mi w gardle.

- ...się stało? – kończy za mnie Karola, trochę niedokładnie odczytując moją intencję. – Zwyczajnie, Hansie, dziewczyny tak mają. Nie ma się czemu dziwić. Ciebie można kochać, ciebie kochałaby niejedna, gdyby nie to. – Delikatnie głaszcze palcem wierzch mojej dłoni. – Jesteś do kochania, mój mały Hansie.

Nie prostuję, nie precyzuję pytania, w zasadzie przecież odpowiedziała na nie. Karola już nic nie mówi, zatapia nos w książce. Siedzę cicho, a świat kołysze się nade mną.

- Chodźmy już – mówi wreszcie po długiej chwili. – Przejdziemy się jeszcze, musisz ochłonać, nie? – Uśmiecha się i mruga do mnie.

- Co z tym? – Gniotę w palcach list Betinki.

- Weź go sobie, do ciebie jest przecież – Karola wyjmuje mi list z dłoni i wsadza do kieszeni szlafroka. – Schowam ci go potem do szafki. To pierwszy taki list, od dziewczyny, co? Taki miłosny? Ładne pisze – wzdycha.

- Karola... Nie mów nikomu, dobrze? Nie powiesz? – Pytam szybko, czując na twarzy rumieniec.

- Nie powiem, coś ty. Grób, mogiła – Karola wykonuje gest sznurowania ust. – Ale będziesz mi opowiadać, jak się wam układa, zgoda? Pod takim warunkiem nie powiem.

Ruszamy dalej zasypaną rudymi płatkami zwiędłych liści alejką. Na pniu siedzi wiewiórka. Patrzy na mnie czarnymi perełkami oczu, nerwowo, szybko kłania się całym ciałkiem, w każdej chwili gotowa do smyknięcia w gęstwinię korony. Puchaty ogonek sztywno wygina się ku górze. Podjeżdżamy bliżej. Mrugam, a gdy otwieram oczy, wiewiórki już nie ma.

- Zobacz, ile kasztanów – Karola schyla się i podnosi brunatną, błyszczącą kulkę, a potem kolejną i jeszcze. – Weź jeden – wkłada mi kasztan do kieszeni, obok listu. – Kasztany przynoszą szczęście na cały rok. I prądy zdrowe dają, aż czuć, jak do palców przechodzi, zobacz. – Wkłada mi drugi kasztan w dłoń. Czuję jego gładki chłód, jego śliską, niby polakierowaną powierzchnię. Jest przyjemny w dotyku, rzeczywiście – mam wrażenie, jak gdyby płynęła z niego ku mnie dobroczynna siła.

Idziemy dalej, zagłębiając się w park, a może już las? Drzewa dookoła zdają się nie mieć końca. Aleja kryje się całkowicie pod opadłymi liśćmi, wcale już nie widać jej asfaltowej nawierzchni, jakby nikt tu tych liści nie zamiętał. Towarzyszy nam nieustanny, wysoki szum, tak jednostajny i wieczny, że już go prawie nie słychać, zlewa się w tło, słuch już go nie odbiera, tylko instynkt, jedynie przecucie jego istnienia. Nie wiem kiedy zamilkły wróble, nie słychać też innych ptaków, z wyjątkiem wron. Krakanie płynie w dół ze szczytów drzew, spomiędzy ich niewidocznych wierzchołków. Czasem dobiega nas łopotanie wielu skrzydeł i widać wtedy między konarami i pożółkłymi liśćmi czarny tłum zrywający się do krótkiego lotu, by stadnie opuścić się w gałęzie sąsiedniego drzewa. Tam wrony znów znikają z oczu, tracą się w gąszczu i słychać tylko krakanie.

Myślę o Betince, o liście, o niewypowiedzianych słowach, które mi przysłała. Czuję się szczęśliwy, świat mi pięknieje, mimo brunatności i wron.

Wędrujemy coraz głębiej, Karola milczy, ja milczę i świat milczy, pokrakuje tylko z wysoka. Jednak wędrówka przedłuża się, rozglądam się dokoła, nigdy wcześniej nie byłem aż tu. Zaczynam odczuwać niepokój.

- Karola... – przerywam milczenie.
- Tak?
- Dokąd idziemy?
- Nigdzie konkretnie, tak tylko, przed siebie.
- Nie zabłądzimy? Nigdy tu nie byliśmy.
- Nie martw się, ja byłem. Nie zabłądzimy, znam drogę.
- Ale po co mnie ciągniesz tak daleko?
- Pokażę ci coś.

Między starymi pniami coś majaczy, jakiś ciemny kształt, cień, kontur czegoś podłużnego, smukłego, miga czernią między drzewami, gdy zbliżamy się do niego.

- Tam coś stoi. Co to takiego?
- To pomnik, Hansie.
- Pomnik?
- Pomnik.
- W lesie?
- To park, nie las. Stara część parku. Zobacz, jaki fajny. Fascynujący – Karola z namaszczeniem podkreśla obco brzmiące słowo. – Fas-cynu-jący.
- I czyj to niby jest, ten pomnik?
- Cholera że go wie – wzrusza ramionami. – Generała jakiegoś może. Albo biskupa.

Podchodzimy bliżej. Widzę wyraźnie wysmukłość pomnika, jego pochyłość, przygarbienie, opuszczone, chude ramiona, długą, nienaturalnie wyciągniętą twarz, jakby ptasią. To żaden biskup, żaden generał.

Wrony kraczą, łopoczą skrzydłami, tłukąc o gałęzie, na głowy sypie się nam deszcz strąconych liści. Oglądam postument. Nie ma na nim żadnego

napisu, żadnej tabliczki. To tylko anonimowy, kamienny podest z czarnego granitu, a na nim granitowy chudzielec żywcem z nadświata. No, żywcem może nie, bez przesady, kamienny jest, a może z metalu jakiegoś, za nisko jestem, żeby rozpoznać. Ale oddany wiernie, nawet pionowe bruzdy ma na twarzy i w niej tę szczególną ptasiość, taką, że dziób aż by się prosił. Patrzę w milczeniu, a mój niepokój potężnieje. Mam dość tego spaceru.

- Wracajmy już – proszę.

- Zaraz. – Karola podchodzi do postumentu, wyjmując z kieszeni kasztan i kładzie go u stóp czarnego chudeusza. – Szczęście na cały rok – mówi, a ja nie wiem, chyba pierwszy raz odkąd ją znam: żartuje, czy robi to serio.

Nagły daleki grzmot rozbija ciszę. Wzdrygam się z przestachu, przyroda nie mogła zrobić lepszego wejścia z budową nastroju.

- Co to? – Pytam. – Burza?

Karola wsłuchuje się w ciszę, wytacza się z niej kolejne: rrrumm! Kręci przecząco głową.

- Nie burza. Wracamy.

Energicznie zakręca wózką, kamienny memuar Pana Kruka ginie mi z oczu, odjeżdżamy. Towarzyszą nam coraz częstsze grzmienia. To nie burza, faktycznie. W prześwicie między koronami drzew widzę bezchmurne, błękitne niebo. Poza parkiem nadal piękna pogoda, nad drzewami jesienne ciepłe słońce. Ściskam w dłoni kasztan od Karoli, chłodny i śliski. Szczęście na cały rok.